

John Flanagan, *Zwiadowcy, Ziemia skuta lodem*

– Odpowiedź brzmi: nie! – rzekł Crowley. – Tak samo teraz, jak i poprzednio.

Cała postać Halta emanowała gniewem, a przywódca zwiadowców doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Crowley wcale nie był zachwycony tym, że takiej właśnie odpowiedzi musiał mu udzielić, ale rozkaz to rozkaz, do niego zaś należało egzekwowanie poleceń dowództwa.

Obowiązkiem zaś Halta było stosowanie się do nich i dotyczyło go to w takim samym stopniu, jak każdego innego zwiadowcy.

– Nie jestem wam potrzebny! – wybuchnął Halt. – Tracę tylko czas, tropiąc tych rzekomych Foldarow i włócząc się po całym królestwie, a tymczasem powinienem udać się na poszukiwanie Willa!

– Król stwierdził, że odnalezienie Foldara jest naszym najważniejszym zadaniem – przypomniał mu Crowley. – Prędzej czy później dostaniemy tego prawdziwego.

Halt machnął lekceważąco ręką.

– Ale do tego ma czterdziestu dziewięciu pozostałych zwiadowców! Na litość boską, to chyba dosyć?

– Król potrzebuje wszystkich czterdziestu dziewięciu i ciebie jako pięćdziesiątego. Wierzy ci, polega na tobie. Jesteś z nas najlepszy.

– A mnie się zdaje, że swoją część roboty już wykonałem – odparł spokojnie Halt. Crowley wiedział, z jakim trudem przyszło jego rozmówcy wypowiedzenie tych słów. Zdawał też sobie sprawę, że jedyną możliwą odpowiedzią jest milczenie – choć wiedział też, że nie na wiele się to zda.

– Królestwo nie mało zawdzięcza temu chłopcu – stwierdził Halt nieco bardziej stanowczym tonem.

– Chłopak jest jednym ze zwiadowców – rzekł zimno Crowley.

– Jest tylko uczniem – poprawił go Halt, na co Crowley wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

– Uczeń ma takie same obowiązki, jak każdy z nas. Tak było zawsze. Każdego ze zwiadowców obowiązuje ta sama zasada: królestwo przede wszystkim. Taki jest sens naszej przysięgi. Złożyłeś ją ty, złożyłem ja. Will także.

Przez chwilę obaj milczeli, ale w tej ciszy gniew tylko się wzrósł. Bolał ich tym dotkliwiej, że od wielu lat byli towarzyszami walki oraz przyjaciółmi. Crowley wiedział, że nigdy nie miał serdeczniejszego druha niż Halt. A teraz doszło do sporu i ostrej wymiany zdań. Pochylił się, podniósł przewrócone krzesło, a potem rzekł pojednawczym tonem:

– Posłuchaj – uśmiechnął się z przymusem – pomóż mi tylko załatwić sprawę z Foldarem. Za dwa, może trzy miesiące wyruszysz na poszukiwanie Willa, a wówczas dopomogę ci, jak tylko będę mógł.

Halt potrząsnął głową, nim Crowley zdążył dokończyć zdanie.

– Za dwa miesiące Will może już nie żyć. Albo zostanie sprzedany jako niewolnik i przepadnie na zawsze. Trzeba wyruszyć natychmiast, dopóki trop jest świeży. – Poza tym obiecałem mu to – dodał po chwili nieco ochrypłym głosem.

– Nie – odparł Crowley tonem wskazującym, że rozmowa skończona. Halt zrozumiał to od razu.

– W takim razie udam się do króla – rzekł, zrezygnowany. Crowley wbił wzrok w blat stołu.

– Król cię nie przyjmie – rzekł bezbarwnym głosem. Spojrzał na Halta i ujrzał w jego oczach bolesne zdumienie.

– Król odmówi? Po tym wszystkim?

Od ponad dwudziestu lat Halt był jednym z najbliższych doradców władcy i miał do niego dostęp o każdej porze dnia i nocy.

– Nie, bo przecież nie gorzej ode mnie zdaje sobie sprawę, czego będziesz od niego żądał. Odmówi audiencji, bowiem będzie chciał sobie oszczędzić bezpośredniej odmowy twoim prośbom.

W spojrzeniu Halta nie było już urazy, tylko zimna determinacja.

– Cóż, postaram się, by zmienił zdanie – wycedził.

Gdy okręt okrążył przylądek i znalazł się w zatoce, wiatr ustał. Tę naturalną przystań osłaniały wysokie skały powstrzymujące wicher. Woda była tu spokojna, a jej powierzchnię zaburzał tylko ulotny ślad, jaki pozostawiał za sobą „Wilczy wicher” .

– To już Skandia? – spytała Evanlyn.

Will nie miał pojęcia, co ma jej odpowiedzieć. Jeśli rzeczywiście dotarli już do tej krainy, to wyglądała ona całkiem inaczej, niż się tego spodziewał. Na brzegu wznosiły się tylko dwie drewniane chaty; miasta ani śladu, poza tym w zasięgu wzroku nie było widać żywej duszy.

– Wygląda dość niepozornie, nie uważasz?

Svengal, który zwijał linę, zaśmiał się głośno.

– Jaka tam Skandia – prychnął. – Jesteśmy dopiero w połowie drogi. To jest Skorghijl.

Widząc ich zdumione spojrzenia, wyjaśnił:

– Teraz do Skandii nie da się dopłynąć. Ta przekłeta burza na Wąskim Morzu spowodowała takie opóźnienie, że nie dopłynęliśmy do celu przed letnimi sztormami. Tutaj odczekamy, dopóki się nie wyszaleją. Po to właśnie wzniesiono te chaty.

Will popatrzył z powątpieniem na zbudowane z bali domy. Sprawiały wrażenie prymitywnych i niegościnnych.

– Jak długo to potrwa? – spytał.

Svengal skrzywił się.

– Może sześć tygodni, może dwa miesiące. Kto wie?

Odwrócił się i odszedł, zarzuciwszy na ramię kłęb liny, zostawiając ich samych.

Spoglądali ku zbliżającemu się wybrzeżu.

Wyspa Skorghijl sprawiała niegościnnie wrażenie. Granitowe urwisko opadało niemal do samej wąskiej plaży, przy której wznosiły się wyblakłe od słońca i pobielające od soli domostwa. Jak okiem sięgnąć, nie widać było ani jednego drzewa, ani nawet źdźbła trawy. Szczyty klifów pokrywał śnieg i lód. Prócz tych białych plam wszystko wokół było szare – piętrzące się kamienie oraz nieco ciemniejsze granitowe skały. Całkiem jakby czczeni przez Skandian bogowie pozbawili ten nieprzychylny zakątek wszelkich barw.

Wioślarze, którzy nie musieli już się zmagać z przeciwnym wiatrem i falami, zwolnili tempa. Okręt sunął przez zatokę w stronę kamienistej plaży. Siedzący przy sterze Erak prowadził go pewną ręką, aż wreszcie stępka zaszurała o dno; wilczy okręt znieruchomiał po raz pierwszy od wielu dni.

Will i Evanlyn stali niepewnie na pokładzie, zaskoczeni tym, że kołysanie, do którego zdążyli już przywyknąć, nagle ustało.

Wciągnane wiosła zadudniły o pokład. Erak uwiązał drzewce wiosła sterowego grubym rzemieniem, by nie poruszało się wraz z falami. Spojrzał w stronę jeńców.

– Możecie wyjść na brzeg, jeśli macie ochotę – rzucił.

Nie musiał ich krępować ani wyznaczać strażników, którzy by ich pilnowali. Średnica Skorghijl w najszerszym miejscu sięgała zaledwie dwóch kilometrów. Poza naturalną

przystanią, w której się znaleźli i dzięki której miejsce to stało się schronieniem przed letnimi huraganami, wybrzeże opadało prosto do morza skalnymi urwiskami.

Will i Evanlyn przeszli na dziób okrętu, mijając po drodze żeglarzy zajętych wydobywaniem spod pokładu baryłek z wodą oraz piwem i worków z suchym prowiantem.

Will przerzucił ciężar ciała przez nadburcie, zawisł przez chwilę na rękach i opadł na kamienisty brzeg. Jako że okręt siłą rozpędu wysunął się na plażę, było to dość wysoko. Odwrócił się, by pomoc Evanlyn, ale dziewczyna wylądowała już na ziemi obok niego. Nie byli w stanie postąpić ani kroku dalej.

– O Boże – jęknęła cicho Evanlyn, czując jak stały ład pod jej nogami chwieje się i kołysze. Straciła równowagę i przyklękała na jedno kolano.

Will miewał się niewiele lepiej. Teraz, gdy skończyło się bezustanne kołysanie, miał wrażenie, że to ziemia faluje pod jego stopami. Oparł się ręką o belki poszycia okrętu, żeby nie upaść.

– Co się dzieje? – spytał. Popatrzył pod nogi, ale ujrzał tylko nieruchome kamyki płaskiej plaży. Zaczęło zbierać mu się na mdłości.

– Uważać tam, na dole! – krzyknął ktoś nad nimi i w tej samej chwili z głuchym łomotem obok nich wylądował wór pełen suszonej wołowiny. Will zatoczył się i podniósł głowę. Napotkał wzrok jednego z marynarzy, który uśmiechał się od ucha do ucha, wyraźnie rozbawiony.

– Kręci się we łbie, co? – zauważył wilk morski nie bez odcienia sympatii w głosie. – To minie, za parę godzin wszystko będzie dobrze.

Willowi rzeczywiście potężnie kręciło się w głowie. Evanlyn zdołała jakoś wstać. Wciąż zataczała się, ale przynajmniej nie męczyły jej mdłości, które doskwierały młodemu zwiadowcy. Wzięła go za rękę.

– Chodź – powiedziała. – Przed tamtą chatą jest ława, jak posiedzimy, to może nam przejdzie.

Chwiejąc się jak pijani, dotarli z trudem do drewnianej ławy i stołu przy jednej z chat.

Will opadł na nią ciężko i podparł głowę rękami. Stęknął niewyraźnie, czując kolejną falę mdłości. Evanlyn czuła się ciut lepiej. Poklepała go po ramieniu.

– Skąd to się bierze? – spytała słabym głosem.

– Tak bywa, kiedy spędziło się nieco czasu na pokładzie – wyjaśnił jej Erak, który właśnie do nich podszedł.

Uginał się pod ciężarem worka z prowiantem; zrzucił go na ziemię przy drzwiach chaty i odsapnął z ulgą.

– Jakoś tak się dzieje – mówił dalej – że nogi muszą odzwyczaić się od kołysania. Nikt nie wie, dlaczego. Minie kilka godzin i poczujesz się lepiej.

– Nie wierzę, żebym jeszcze kiedyś poczuł się dobrze – jęknął chrapliwie Will.

– Nic ci nie będzie, zobaczysz – zapewnił go Erak. – Lepiej rozpal ogień – poleciał szorstko. Wskazał kciukiem osmalony krąg kamieni znajdujący się kilka metrów od najbliższej chaty. – Poczujesz się lepiej, jak zjesz coś ciepłego.

Na wzmiankę o posiłku Will znów jęknął. Wstał jednak chwiejnie z ławy i wziął od Eraka hubkę oraz krzesiwo. Podeszli z Evanlyn do miejsca przeznaczanego na ognisko. Obok wznosiła się sterta drew wylowionych z wody przez poprzednich użytkowników tego miejsca. Bierwiona były suche dzięki słońcu i morskiej soli. Niektóre z nich okazały się na tyle cienkie, że dało je się łamać gołymi rękami. Will zaczął ustawiać szczapy w piramidkę pośrodku kamiennego kręgu.

Evanlyn zajęła się zbieraniem garści mchu na podpałkę. Już po paru minutach płonął mały ogieniek, języki płomieni lizały łapczywie większe kawałki drewna, które chłopak i dziewczyna dokładali teraz do ogniska.

– Jak za dawnych, dobrych czasów – stwierdziła półgłosem Evanlyn, lekko się uśmiechając. Na to wspomnienie rozjaśniła się również twarz Willa. Doskonale pamiętał płonący most Morgaratha, płomienie pożerające łąpczywie nasączone smołą liny i suche sosnowe belki. Westchnął ciężko. Gdyby trzeba było, zrobiłby to jeszcze raz, bez wahania. Żałował jednak, że wciągnął we wszystko Evanlyn. Gdyby mógł cofnąć czas i zrobić coś, żeby nie pojмали jej razem z nim...

A jednocześnie, choć ubolewał nad tym, co się stało, jej obecność stanowiła jedyną pociechę w beznadziejnej sytuacji i, trochę wbrew sobie, cieszył się, że dziewczyna jest przy nim. Prócz tej przyjaźni nie pozostało mu nic więcej.

Zawstydził się swych myśli, ale nic nie mogło zmienić faktu, że gdyby nie ona, po prostu nie chciałoby mu się dłużej żyć. Wyciągnął dłoń i dotknął jej ręki. Spojrzała na niego, tym razem to on uśmiechnął się pierwszy.

– Zrobiłabyś to jeszcze raz? – spytał. – Wiesz, mam na myśli most i tak dalej.

Zastanowiła się poważnie przez krótką chwilę, a potem odpowiedziała:

– Bez wahania. A ty?

Skinął głową. Potem zaś westchnął znów, myśląc o tym, co pozostawili za sobą.

Erak, który przyglądał im się dyskretnie z pewnej odległości, mruknął pod nosem z aprobatą. Każdemu z tych dwojga przyda się przyjaciel – pomyślał. Gdy dotrą do Hallasholm i znajdą się na dworze Ragnaka, czeka ich niełatwe życie. Zostaną sprzedani jako niewolnicy, a to oznaczało ciężką fizyczną pracę, bez wytchnienia i nadziei na uwolnienie. Ktoś, kto haruje od świtu do nocy, dzień po dniu, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem – potrzebuje przyjaznej duszy. Chyba, że król Araluenu zapłaci za nich okup.

Trudno byłoby powiedzieć, że Erak tak naprawdę polubił tych dwoje. Jednak zyskali jego szacunek. Skandianie byli wojownikami z krwi i kości, ceniącymi nade wszystko zręczność oraz odwagę okazywaną w bitwie, a z pewnością ani Willowi, ani Evanlyn nie brakowało śmiałości, skoro poważyli się na tak szalone przedsięwzięcie, jak spalenie mostu Morgaratha. Chłopak sprawiał się naprawdę nieźle, kładąc pokotem groźnych wargalów z tego swojego małego łuku. Erakowi rzadko zdarzało się widywać kogoś, kto strzelałby równie celnie i szybko. Domyślał się, że Will zawdzięczał celność swojemu zwiadowczemu wyszkoleniu.

Ale dziewczyna też wykazała się nie lada odwagą, najpierw dopilnowując, by niszczycielski ogień rozpałił się jak należy, a potem, gdy Will padł ogłuszony kamieniem ciśniętym przez jednego ze Skandian, próbowała jeszcze pochwycić łuk i walczyć dalej.

Trudno było nie darzyć ich sympatią. Oboje są jeszcze tak młodzi, a przed nimi niełatwa przyszłość. Postanowił traktować ich dobrze, ale tylko do czasu, kiedy znajdą się już w Hallasholm...

Erak otrząsnął się gniewnie z tych rozmyślań, które jego zdaniem stanowiły oznakę słabości.

– Mięczak się ze mnie robi na starość! – mruknął gniewnie pod nosem.

Zauważył, że jeden z wioślarzy próbuje ukradkiem podwędzić kawał wieprzowiny z worka. Zaszedł go cichcem od tyłu i z całej siły kopnął w tylną część ciała, tak że tamten runął jak długi.

– Łapy przy sobie, złodziejskie nasienie! – warknął. Odwrócił się i schylając głowę, wszedł przez niskie odrzwia do wnętrza mrocznej, cuchnącej dymem chaty, by upomnieć się o należną sobie najlepszą porcję.

Była to obskurna, ciasna i ńędzna tawerna o niskim suficie, a jej wnętrze brudne i zadymione. Mieściła się jednak w pobliżu rzeki oraz portu, do którego zawijały statki przywożące towary sprzedawane potem w stolicy, toteż zazwyczaj panował tu spory ruch.

Jednak akurat teraz niemal ustał, a przyczyną tego stanu rzeczy był osobnik siedzący przy jednym z poplamionych stołów, nieopodal kominka. Mężczyzna ów spoglądał właśnie na oberżystę, jego oczy płonęły pod krzaczastymi brwiami. Stuknął niecierpliwie pustą szklanką o blat z surowych sosnowych desek.

– Pusto! – zawołał rozkazująco. Rozkazująco, stanowczo i tylko odrobinę mniej wyraźnie niż za pierwszym razem, choć właściciel tawerny pamiętał dobrze, iż napełniał szkło tanim, ognistym trunkiem już co najmniej osiem razy. Nie, dziewięć! Takim właśnie napojem raczyli się najczęściej bywalcy tego miejsca. Owszem, klient to klient, zwłaszcza jeśli płaci, ale ten akurat wyglądał na takiego, który sprowadza swoją osobą kłopoty i oberżysta życzyłby sobie z całego serca, by gość poszedł gdzie indziej i sprawiał je komu innemu.

Większość bywalców, wiedzona nieomylnym instynktem portowych wyjadaczy, wyniosła się, odkąd pojawił się ten niski, pijący z determinacją mężczyzna. Zostało tylko kilku. Nikt nie próbował szukać zaczepki, bo mimo niepozornego wyglądu szaro-zielony płaszcz i groźnie wyglądające dwa noże u boku wskazywały, że mają do czynienia z królewskim zwiadowcą, a nikt o zdrowych zmysłach nie próbowałby zadzierać z przedstawicielem tego elitarnego korpusu. Znalazł się jednak pewien potężnej budowy tragarz, który uznał, że poradzi sobie bez trudu z tak drobnym przeciwnikiem.

Tragarz o swej pomyłce przekonał się boleśnie na własnej skórze. Walka trwała tylko kilka sekund, nim osiłek wylądował nieprzytomny na podłodze. Jego towarzysze czym prędzej sobie poszli, by poszukać bezpieczniejszego miejsca, w którym będzie przyjaźniejsza atmosfera. Zwiadowca rzucił tylko okiem w stronę drzwi, za którymi znikli i zażądał od oberżysty kolejnej porcji trunku.

Gospodarz przeszedł nad bezwładnym ciałem tragarza, nieco drżącą ręką napełnił szklankę zwiadowcy, po czym pospiesznie wycofał się na swe względnie bezpieczne stanowisko za kontuarem.

I wtedy zaczęły się prawdziwe kłopoty.

– Doszedłem do wniosku – oznajmił zwiadowca, wymawiając każde słowo starannie, jak człowiek, który wie, że wypił zbyt wiele – iż nasz dobry król Duncan, władca obecnie panujący, jest zwykłym tchórzem.

O ile już przedtem w portowej knajpie panowała napięta atmosfera, to teraz cisza, która zapanowała po wypowiedzi zwiadowcy, stała się wprost nie do zniesienia.

Wszyscy – nieliczni – goście, którzy zdecydowali się pozostać w tawernie, wpatrywali się w osobnika, który dopuścił się tak jawnej obrazy majestatu. Ten zaś rozejrzał się, na jego wąskich ustach pojawił się uśmiešek, ledwie widoczny pod szpakowatym zarostem.

– Tak jest, tchórzem. Śmierdzącym tchórzem. A w dodatku głupcem – rzekł.

Nikt nawet nie drgnął. Doprawdy, niebezpiecznie było mówić takie rzeczy, a nawet ich słuchać. Gdyby jakiś zwykły poddany pozwolił sobie na podobne słowa, stanowiłoby to poważne wykroczenie. Gdy zaś chodziło o zwiadowcę, zobowiązanego przysięgą żołnierza specjalnych sił królestwa, sprawa ocierała się o zdradę stanu.

Co poniektórzy wymienili zaniepokojone spojrzenia.

Wszyscy ci, którzy pozostali jeszcze w tawernie, żalowali gorzko, że nie wyszli wcześniej. Jednak coś w zimnym spojrzeniu zwiadowcy mówiło im, że teraz jest już za późno.